№ 19. Warszawa, dnia 26 Kwietnia (8 Maja) 1886 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

ODGADYWANIE MYŚLI.

W chwili, gdy Hypnotyzm zaczął zwracać na siebie większą uwagę uczeni w Anglii zawiązali Towarzystwo, w celu badania natury zjawisk wywołanych działaniem hypnotycznem i okrywającej ich tajemnicy.

Pierwszem dziełem w tym względzie, była rozprawa Jana Braid wydana w roku 1847, pod tytułem *O hypnotyzmie czyli śnie nerwowym*, w stosunku do zjawisk przyznawanych magnetyzmowi zwierzęcemu.

Braid Hipnotyzm traktuje przeważnie jako sposób znieczulania przy bolesnych operacyach, za pomocą wpatrywania się chorego w jaki przedmiot błyszczący wprost niego umieszczony. Później przekonano się, że człowieka uległego wpływowi hypnotyzmu, można zmuszać do czynności przeciwnej jego woli, wmawiać w niego to co nie jest, np. że gryziony ziemniak jest wybornym ananasem, woda winem rzadkiej dobroci i wreszcie zmuszać do czytania w cudzych myślach.

O ile to wszystko zgodne było z prawdą wówczas nie wiedziano, szarlatanizm wszędzie musi się wcisnąć, wyzyskać i zaciemnić. Towarzystwo też angielskie przedewszystkiem wzięło sobie za zadanie zebranie faktów, pod każdym względem nieulegających najmniejszemu podejrzeniu co do ich prawdziwości i w tym celu przeprowadza szereg doświadczeń naprzód ułożonych i wypadki z nich ogłasza w odpowiednich sprawozdaniach. Są one niezmiernie ciekawe, szczególniej dotyczące przelania wrażenia wzroku z jednej osoby na drugą, bez dotykania się ich z sobą, bez żadnych jakichkolwiek środków porozumienia.

W tym celu, jednemu z członków Towarzystwa Smitowi, zawiązano oczy i posadzono przy stole, na którym znajdował się czysty papier i ołówek. Dla usunięcia zaś wszelkiego podejrzenia, zatkano mu uszy, okręcono głowę poduszką i okryto grubą, wełnianą chustką, aż do bioder. Następnie drugi członek Towarzystwa przeszedł do obocznego pokoju i tam zamknięty wyrysowawszy na papierze kilka rysuneczków jakby pomysłów do deseniu dla haftu białego, przywołał trzeciego członka pana Blakburna i pokazał mu rysunki przez siebie wykonane. Ten wpatrzył się w nie bacznie starając się formę ich zatrzymać w pamięci; potem Blakburna z zawiązanemi oczami zaprowadzono do salonu i posadzono go z tyłu za Smitem w małej od niego odległości. Wówczas nastąpiło w salonie zupełne milczenie: Blakburn zaczął uprzytomniać sobie w myśli widziane rysunki a Smit po pewnej chwili wziął ołówek i zaczął kreślić a raczej jakby kopiować wzory zachowane przez Blakburna w pamięci.

Niektóre z nich były bardzo wiernie dokonane, inne mniej dokładne, ale i w tych widocznem było, że Smit rysunek stara się naśladować, ale że go dobrze nie dostrzega.

W dalszem doświadczeniu, pani Birchol osłoniono oczy i głowę tak jak Smitowi: jedna osoba na znak dany przez przewodniczącego, zaczęła myśléć z natężeniem o pewnym przedmiocie a pani Birchol po pewnej chwili zaczęła opisywać go coraz jaśniej, coraz dokładniej, jakby badała czem jest właściwie i wreszcie wymieniła jego nazwę.

Później panie Birchel i Guthric odgadywały w ten sam sposób i pisane liczby, wymieniały karty, odczytywały nazwy różne i t. p. i ogólnie zmuszeni wszyscy byli przyznać, że możność czytania w myśli ludzkiej jest najzupełniej prawdziwym, zwłaszcza, że o jakąkolwiek mistyfikacyą w gronie tak poważnem jedynie prawdy szukającem, mowy być nie może.

Z dziedziny Somnambulizmu, profesorowie szkoły lekarskiej Bourru i Burot, w sprawozdaniu swem obszernem podali wiadomość także wielce interesującą. Chory, powiadają, był sparaliżowany z prawej strony; gdyśmy go wprawili w stan somnambuliczny, jeden z nas rzekł do niego:

— Dziś o godzinie czwartej wieczorem, pójdziesz do mego pokoju, usiądziesz na krześle, na piersiach skrzyżujesz ręce, i krew ci pójdzie nosem.

I wszystko to spełnił z największą punktualnością a nawet z nosa kilka mu kropel krwi pociekło.

W tydzień później, badający nakreślił mu na obu rękach swoje nazwisko tępym rylcem i rzekł:

— Dziś o czwartej po południu zaśniesz i krew ci się pokaże w miejscach które nakreśliłem.

Sen nastąpił o naznaczonej godzinie a na obu rękach litery nazwiska przedstawiły się wypukło i czerwono a nawet i kropelki krwi tu i owdzie pokazały się. Kiedy w powtórnem podobnem doświadczeniu, polecono, aby krew ukazała mu się na obu rękach, odrzekł chory, że na ręce prawej jako sparaliżowanej nie da się to spełnić. Jakoż stało się tak jak powiedział, na lewej ręce krew wysączyła się, na prawej nie było jej ani śladu.

Następnie jeden z badaczy, nakreślił mu literę na dłoni i rozkazał, aby krew w tem miejscu nie jak zwykle za kilka godzin, ale natychmiast się ukazała. Chory prosił, aby go od tego uwolniono, że to sprawi mu wielki ból... Nie zważano na to, rozkaz ponowiono i wkrótce ręka nabrzmiała i zaczęła się litera zarysowywać, ale nie świeżo nakreślona, tylko przedtem napisana, stała się wypukłą, czerwoną i w końcu pokazało się na niej kilka kropli krwi.

Widać, że rozkaz nie był dość stanowczo wypowiedziany, szczególniej co do litery jaka ma się odznaczyć, w każdym jednak razie jest to dowodem nowej jakiejś siły, nieznanej, nieujętej w żadnem laboratoryum chemicznem, w świadomości złych bardzo niebezpiecznej.

Kilka tygodni temu, psychiatra francuzki Berheim, zrobił następujące doświadczenie na zahypnotyzowanym inwalidzie. Wskazując na stojący w końcie kij, rzekł do niego:

— Oto jest karabin z bagnetem. Za dwie godziny weźmiesz go i zabijesz nim prezydenta rzeczypospolitej pana Grevego, który stać będzie w ogrodzie tuż obok bramy.

Następnie przebudził uśpionego.

W dwie godzin później, inwalida zaczął okazywać wielką niespokojność, jakby walczył z jakąś myślą, której oprzeć się nie może. Wreszcie oglądając się na wszystkie strony, z wielką ostrożnością wziął do ręki ów kij mający być karabinem, wybiegł na podwórze i pocichutku skradając się podszedł do bramy wskazanego mu ogrodu.

Przy niej stał kasztan, inwalid ujrzawszy go, złożył kij do ataku i nienamyślając się, uderzył nim z całej siły w pień owego kasztana. Doświadczenie zatem udało się wybornie i nowy dało dowód wpływu woli ludzkiej na osobę w śnie hypnotycznym pogrążoną.

W zeszłym jeszcze wieku, Franciszek Mermer, utworzeniem teoryi magnetyzmu zwierzęcego, dał podstawę do badania zjawisk hypnotycznych, połączonych z somnambulizmem. Według jego twierdzenia, w przestrzeniach wszechświatowych, rozlany jest płyn nadzwyczaj subtelny, przenikający wszystkie ciała, i że za pośrednictwem jego, ciała niebieskie przyciąganiem pomiędzy niemi i istotami ożywionemi zachodzącem, wywierają na ich system nerwowy działanie odpowiednie.

Czy tak jest czy nie jest, rzecz dotąd nierozwiązana, dość, że tak hypnotyzm jak magnetyzm zwierzęcy lub somnambulizm, są wielkiemi niewiadomemi, które czas pomału rozwiąże i przekona, że jest wiele prawd nie zmierzonych cyrklem ani wagą zważonych.

POWITANIE.

Piosenko leć, jak ptaszę leć,
Gdzie myśl i serce leci,
Po chmurnych dniach, po bólach — łzach
Znów jasne słońce świeci...

Lilije, bzy — i śmiech, i łzy,
Marzenia i sny złote,
I echa gór, i ptasząt chór
W piosenkę jedną splotę.

Piosenko goń! przez bór, przez błoń,
A świeć, jak blask świtania,
Jak jasny szlak — a léć, jak ptak
Piosenko powitania!

Przeminął żal. — Przedemną dal
Lśni jasna, jak z kryształu,
Na skrzydlach snów — polecę znów
W krainę ideału...

Tęsknotę dum — i wichru szum,
W piosenkę jedną złączę,
I zapach róż, i grozę burz
I zacznę, i... nieskończę...

Przez wiek — dzień w dzień,
Nim znowu cień
Radośne dnie omroczy,
Ja pragnę żyć, — Snuć marzeń nić
I patrzéć w Twoje oczy...

Nie pragnę nic, gdy z Twoich lic
I z oczu radość świeci...
O świeć mi — świeć! Piosenko leć!
Gdzie myśl — i serce leci...

Jowita.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ TRZECIA.

(Dalszy ciąg.)

Blizko we dwa lata po ożenieniu się z Sabiną, Bernard zaczął znów pisać swój dziennik i po tak długiej przerwie, dodał do niego co następuje:

Dziennik Bernarda. (Dalszy ciąg.)

Życie moje było niezaprzeczenie nader niezwykłem, nawet w obecnym czasie... Zajęło by mnie żywo gdybym był tylko prostym jego widzem, cóż dopiero skoro główną w niem odgrywam rolę...

I dziś, jak przed dziesięciu laty w życiu mojem zachodzi przesilenie, przesilenie dziwnie zaciekawiające i nie umiem oprzeć się chęci przedstawienia sobie samemu wrażeń jakie we mnie budzi; a może też, dojrzalszy dziś wiekiem, nakreślę na tych kartach kilka rozmyślań filozoficznych, nie pozbawionych pewnej wartości.

Parę słów tylko o smutnej przeszłości, którą zawsze z poszanowaniem wspominać będę. Nie byłem szczęśliwy z pierwszą żoną, zarówno jak i ona nie zaznała szczęścia w swojem ze mną pożyciu; a nawet przypuszczam dziś z żalem i boleścią, że właśnie zmartwienie złamało młode jej życie. A jednak czyż mam sobie co do zarzucenia?... Wszystkiego złego to było powodem, że ona miała gorącą wiarę, ja żadnej. Tem więc jedynie zawiniłem, iż nie przewidziałem zgubnych następstw jakie koniecznie wyniknąć musiały z połączenia się dwóch osób zapatrujących się na życie z tak sprzecznego stanowiska. Ona uważała je za dar dany nam od Boga, ja za wynik wypadku; ona za próbę i przejście do lepszego życia, ja za dożywotnie użycie i wypadek bez jutra. Ma się rozumiéć że z tak sprzecznego poglądu, wynikać musi wielka różnica w pojmowaniu obowiązków życia.

Ale dość już o tem.

Pierwsza moja żona zasmucała mnie, druga bawi nieskończenie. Pozwolę sobie użyć pospolitego wyrażenia; ta bynajmniej nie choruje na religię, prędzej już na uczoność. Umie bardzo wiele rzeczy, ale obawiam się, że nie przetrawiła ich dostatecznie. Jako wierny duchowi czasu, czytałem lub przynajmniej przerzucałem wielu autorów, mogę więc rozbierać jej teorye filozoficzne, ale zdaje mi się, że ich nadużywa i wyprowadza wnioski za daleko posunięte. Ma zawsze gotowy naukowy jakiś argument, na poparcie swego postępowania, upodobań i niechęci. Chyba w grobie jeszcze śmiać się będę z odpowiedzi jaką mi dała niedługo po naszym ślubie, gdy powiedziałem jej, że pragnąłbym mieć syna.

— O! mój drogi — odpowiedziała — ja bynajmniej tego nie chcę. Macierzyństwo jest jedną z tych służebności, jakie natura narzuca nam dla własnych celów, w sprawie własnego dzieła a wiesz przecie, że ja nie uznaję żadnych praw przyrodzonych. Zasady moje, zresztą o ile mi się zdaje, bardzo zbliżone do twoich, nakazują aby, o ile to być może, brać z życia same rozkosze a odtrącać cierpienia. Chcąc nas nakłonić do poddania się jej ciężkim prawom, przyroda do każdego z nich dołączyła jakąś ponętę, otóż wolny umysł umie pochwycić ponętę, odrzucając resztę... Powiesz mi, że gdyby każdy tak myślał nastąpiłby koniec świata, odpowiem na to, że jest mi to najzupełniej obojętnem... Poczem dodała ze swoim czarodziejskim uśmiechem: Zresztą kłopoty macierzyństwa szkodzą piękności, a ja pragnę piękną pozostać dla ciebie.

I rzeczywiście pozostała piękną, ale zaczynam się obawiać, że nie jest to wyłącznie na moją cześć i chwałę. Postanowiwszy sobie, dziś więcej jak kiedykolwiek, zapatrywać się na wszystkie sprawy tego świata z żartobliwej strony, i tę, choć tak delikatną kwestyę wesoło traktować będę.

Po naszej poślubnej podróży, którą przyznać to muszę, otwarta i bystra intelligencya Sabiny, nadzwyczaj mi uprzyjemniała, zamieszkaliśmy stale w Paryżu, do którego wracałem z największem zadowoleniem. Obawiałem się, że żona moja wycho-

wana tak poważnie w zupełnem odosobnieniu z trudnością tylko nagnie się do gwarnego życia paryzkiego i tylko przez uprzejmość dla mnie zechce bywać ze mną w świecie. Pod tym względem spotkała mnie niespodzianka, z początku bardzo miła. Sabina od razu czuła się w świecie paryzkim, jakby w naturalnym swoim żywiole. Wkrótce nawet zdawało mi się, że zbyt, że tak powiem, zapalczywie rzuca w wir świata i tę jej nienasyconą żądzę zabaw porównywałem z myśli gorącym zapałem nowicyuszki wyzwolonej z klasztoru i pożerającej chciwie zakazany owoc o którym długo marzyła.

Wtedy także przypomniałem sobie, może nieco zapóźno, z jak żywą ciekawością panna Tallevant wypytywała mnie niegdyś podczas naszych leśnych spacerów, o uciechy i rozrywki szczęśliwych mieszkańców Paryża. Otóż i ona zakosztowała obecnie owych rozkoszy, tak przesycając się niemi, jakby do dna wyczerpać je chciała. Uganiała się z niezmordowanym zapałem za obiadami, balami, teatrem, wyścigami, amatorskiemi salonowemi przedstawieniami, słowem za wszelkiemi światowemi uciechami; nie pomija najmniejszej sposobności, jakich życie paryzkie nastręcza tak wiele, mogącej zająć umysł, zmysły lub próżność i nigdy jej do nich chęci ani sił nie zbraknie. I nie jest bezmyślne rozszalenie pospolitej paryżanki, ale systematyczne postanowienie, aby podczas przejściowego pobytu swego na tej planecie, poznać i zakosztować wszystkiego, doświadczyć wszelkich miłych czy ciekawych wrażeń, jakich tylko doznać można, postanowienie podtrzymywane żelazną wolą i stalowemi nerwami. Żona moja jest istnym sfinksem, zagadką którą badam od pierwszego dnia pożycia i wyznać muszę, często z pewnem zaniepokojeniem. Nie mogłem nie dostrzedz, że zadziwiająca ta kobieta, zamiast jak zacny i nieszczęśliwy jej opiekun, czerpać w nauce i umiejętnościach jakiś rodzaj wysoko mistycznej wiary, zaczerpnęła z niej tylko gorzką negacyę oraz silne uczucie pogardy i buntu przeciw wszelkim czy to przyrodzonym zawadom, przeciw wszelkim prawom bozkim i ludzkim. I zapytywałem siebie gdzie rozkiełznana jej logika popchnąć może namiętność kobiecą rzuconą w świat bez jakiego bądź hamulca; zapytywałem siebie czy i gdzie zatrzyma się ta nienasycona ciekawość... pytałem siebie nadewszystko, czy pod względem miłości, poprzestanie na mojej?

Jakby uprzedzając życzenia moje, żona moja sama odpowiedziała na to ostatnie pytanie.

A stało się to z powodu nic nie znaczącego zdarzenia. Dawano w teatrze pierwsze przedstawienie jakiejś sztuki, w której miała występować Sara Bernard; żona moja, nie opuszczająca nigdy podobnych uroczystości, swoim zwyczajem poleciła mi, abym wystarał jej się o lożę, za jaką bądź cenę. Nie mogłem jednak dostać loży, bo może nie dość gorliwie starałem się o nią. Żona moja tak całe dnie i noce poświęca najprzeróżniejszym uciechom i zabawom, że ja choć zastarzały światowiec i przyzwyczajony do nocnych pohulanek, czułem się już znużonym, a nawet doktor radził mi oszczędzać się nieco. Rad więc byłem choć jeden wieczór przepędzić w domu, a szczególniej w towarzystwie Sabiny, której straszliwa piękność, pomimo tylu *ale*, a może właśnie z powodu tych *ale* nader silnie przemawiała jeszcze do mojej wyobraźni.

Po obiedzie, przy którym była milcząca i niezadowolniona, poszedłem za nią do jej buduaru w którym wesoły płonął ogień i uprzejmie podając cygaretkę, zapytałem:

— Więc nigdzie dziś nie wyjeżdżasz, moja droga?

— A gdzież mogłabym pojechać? oprócz nas jednych, cały świat jest dziś na tem przedstawieniu.

— No, ja bynajmniej nie zazdroszczę całemu światu, ale świat cały musi mi zazdrościć, że jestem tu z tobą.

Leżąc na szeslongu uniosła się do połowy i mierząc mnie lodowatem, wyniosłem spojrzeniem rzekła:

— Pozwól zapytać się, czy kochasz mnie jeszcze?

A gdy za całą odpowiedź zrobiłem wielkie oczy:

— Czy tak? — dodała — doprawdy dziwi mnie to niewymownie, bo ja nic a nic cię już nie kocham... — I kładąc się znów najspokojniej na szeslongu, dodała: — Powiadam ci to dlatego, iż od pewnego czasu dostrzegam, że zaczynasz być zazdrosnym, chcę więc oszczędzić ci tej śmieszności. Co więcej, widzę iż męczy cię to, że zawsze i wszędzie jak cień mnie nie odstępujesz... i zdaje się, że nawet zdrowie twoje cierpi na tem. Otóż po tem szczerem oznajmieniu mojem, będziesz mógł odpocząć sobie trochę.

— Stokrotne dzięki za tyle dobroci, ale chciej łaskawie wytłomaczyć słowa twoje... Czy mam przez nie rozumieć, że od tej chwili mam się wyrzec zaszczytnych dla mnie względów twoich?

— Właśnie o to chciałam prosić.

— I czy masz zamiar nie dochować winnej mi wierności?

— Winnej ci wierności?... i na mocy czegoż to winna ci ją jestem?... Czy na mocy tej przysięgi jaką wykonaliśmy przed ołtarzem Boga, w którego nie wierzymy oboje?... Cóż znowu! Nie jesteś przecie dzieckiem i wiesz dobrze, iż w dniu tym zniewoleni byliśmy spełnić formalność narzuconą nam przez względy przyzwoitości i konwencyonalności towarzyskiej... Zanim nastąpi nowy porządek rzeczy, społeczeństwo tylko spełniającym tę formalność, dozwala korzystać z przywilejów małżeństwa... Pod tym jedynie warunkiem towarzystwo przyjmuje ich, otwiera swoje salony i zapewnia stanowisko w świecie.. Nie było rady, trzeba było poddać się jego wymaganiom... Ale sam powiedz, proszę, czemże jest małżeństwo dla takich jak my oboje ludzi? oto prostem stowarzyszeniem zawartem w widokach wspólnych i ogólnych korzyści... które nie przeczę, powstaje niekiedy z powodu jakiegoś zobopólnego pociągu, nie może przecież zasadzać się na przeciwnej naturze niedorzeczności, wiecznej miłości jakiegoś mężczyzny dla jednej i tej samej kobiety i jednej jakiejś kobiety, dla jednego, tegoż samego mężczyzny!

— Kochana Sabino — rzekłem — doprawdy z tobą niepodobna się nudzić. Zachodząc nieco w lata, jak ja, można niekiedy wieczorem zdrzemnąć się w domowem ognisku... ale ja uniknę tego najniezawodniej, dopókąd raczysz zaszczycać mnie tak pociesznemi zwierzeniami.

— Bordzo wdzięczna ci jestem, kochany Bernardzie, że tak wesoło przyjmujesz słowa moje... Jakiś głupiec rozgniewałby się... Zresztą przyznaję, że może wyrażiłam się w nieco szorstkiej formie... ale zła jestem niewymownie, że nie mogę być na tem przedstawieniu... Dlaczegóż dotąd psułeś mnie zbytecznie?

— A więc, droga Sabino, wszystko co raczyłaś powiedzieć i przepowiedzieć mi dziś wieczorem, mam uważać tylko za żart?

— Ależ nie, mój przyjacielu... nie cofam z tego nic... prócz tylko nadmiaru złego humoru... Co do reszty, sam rozumiesz, że wszystko co mówiłam jest szczerą prawdą i że małżeństwo tem tylko może być dla nas czem było dla wolnych myślicieli ubiegłego wieku, szacownym sztandarem, osłaniającym zupełną zobopólną swobodę i niezależność. Jesteśmy teraz przyjaciołmi i spodziewam się zostaniemy nimi na zawsze... ale na zawsze pozostać kochankami?... jestże to rzecz naturalna?... możliwa?... Sam wiesz dobrze, iż to niepodobna!... I mamyż oszukiwać się wzajemnie i poniżać ukrywaniem?... Nie!... Zarówno rozum jak i godność nasza nakazuje, abyśmy używali nadal przywilejów jakie małżeństwo zapewnia nam w świecie, a jednocześnie korzystali z zupełnej wzajemnej niezależności... Wierzaj mi, Bernardzie, prawdziwa znajomość życia, uczy nas, aby tak zachowywać się względem społeczeństwa jak i względem przyrody, to jest przyjmować wszelkie korzyści jakie się wyciągnąć dadzą, odtrącając służebności i niewolę jaką narzucać nam pragnie.

— Moja droga — odpowiedziałem — przesądzasz siły mego żołądka, przypuszczając, że jest w stanie każdego dnia strawić długie twoje teorye o naturze i jej służebnościach. Jestem sobie tak prostodusznym człowiekiem abym nawet probował zbijać doktryny oparte na tylu wiadomościach... I dlatego pozwolisz pożegnać się i pocałować w rękę na dobranoc.

To powiedziawszy, wyszedłem. Sądzę, że w podobnie drażliwej okoliczności, to wyjście moje było najwłaściwsze i pełne godności. Nie chlubię się jednak z tego zbytecznie.

Otóż stosunki jakie wytworzyły się między nami w ciągu tego miłego wieczoru, już odtąd i nadal pozostały. Dzieli nas głucha, zobopólna niechęć, mogę nawet powiedzieć kiełkująca nienawiść, ukrywająca się mniej więcej pod płaszczykiem grzecznej ironii. Dzięki jednak zajęciom, obowiązkom światowym, nadzwyczaj ograniczającym chwile, w których jesteśmy sami, wspólne pożycie nie stało się dotąd niemożebnem. W każdym razie od owej chwili staje się prawdą niezaprzeczoną, że drugie moje ożenienie będzie równie nieszczęśliwem, a może nawet nieszczęśliwsze jeszcze niż pierwsze... Ale tym razem pozostaje mi ta przynajmniej pociecha, iż stoję w obec przeciwnika umiejącego się bronić, że nie mam, jak dawniej do czynienia z istotą tak tkliwą i delikatną, iż trzebaby być okrutnym, aby ją choć najlżej rozmyślnie zadrasnąć.

Jeśli już fatalizm tak zrządza że, w małżeństwie trzeba koniecznie staczać walkę, dobrze jeżli można ją prowadzić równemi siłami, to podtrzymuje i podnieca... Zapewnie nie daje to szczęścia, ale jest przynajmniej życie!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

— To za wiele, panie Ignacy, to za wiele. Co Rzeczpospolita, to nie ja, prosta jedna dziewka. Ja się bardzo panu dziwiłam że pan nie poszedł na wojnę. Wszyscy szli. Mój ojciec zamknął się w Dankowie i sama słyszałam, jak mówił, że zagrzebie się w gruzach a Szwedom się nie podda. Cieszę się, bardzo się cieszę i dumna jestem z tego, że postanowiłeś bić się ze Szwedami. To straszny naród. Co dzień w Krzepicach kogoś wieszano na baszcie. Idź pan, bij się i walcz, a ja cię czekać będę.

Żwan był w siódmem niebie. Ukląkł u nóg tej ślicznej a takiej dumnej dziewczyny, całował jej ręce i mówił o jej ojcu. Czy on pozwoli kiedy na to? czy mogą mieć nadzieję pobrania się kiedykolwiek? Czy wreszcie ona sama naprawdę będzie czekała i będzie chciała iść za niego, szlachcica ubogiego.

— Na końcu miecza pańskiego, panie Ignacy, leżą zaszczyty wszystkie. Grzędę pleść będę, len prząść jak potrzeba... Niczego się nie lękam i na wszystkom gotowa.

W końcu radziła mu, prosiła go nawet, by jej nie odprowadzał do Dankowa, lecz żeby ją odesłał przez kogo innego. Ona nawet ojcu nie powie, kto ją uwolnił. Niech Żwan ukryje się pod jakiem obcem nazwiskiem i niech sławą ozłoci to nowe swoje imię. Żwan zgodził się na to i od herbu swego postanowił zwać się Mora. Kasztelanka przyznała, że to śliczne nazwisko, że ojcu powie, iż ją rycerz Mora oswobodził. Niechże ten rycerz Mora zabłyśnie sławą i zwycięztwami po całej Rzeczypospolitej.

Wieczór zapadał szybko. Od borów, wraz z pomrukami wiatru, szły posępne cienie nocy. Żwan poszedł naradzić się z Borutą i Lniskim. Postanowiono nocą zwinąć cichaczem obóz, ruszyć ku Dankowu i ukryć się tam w pobliżu w lesie. Boruta odprowadzi do zamku kasztelankę i poprosi, w imieniu rycerza Mory, o trzy harmaty w zamian za pannę. Wszystko to zresztą radził Lniski, bo Żwan chodził ciągle zamyślony, jakby pijany i nieprzytomny. Lniski obawiał się tylko o Bartka, którego na leśnictwie zostawiać nie chciał, bo to znaczyło, oddać go Szwedom, którzyby go zapewne obwiesili, zabierać znów ze sobą rannego, na śniegi, deszcze i mrozy, było to to samo, co skazać go na śmierć. Szczęściem Jagusia dała znać, że Bartek ma się lepiej, że wstał i woła jeść. Wszystko więc było dobrze. Gdy noc zapadła, w wielkiej ciszy zdjęto obóz. Jazda, wynosząca teraz około sześćdziesięciu koni, ruszyła przodem z Borutą, kasztelenką i jej służebnemi. Piechota, mająca zaledwie dwudziestu pięciu do trzydziestu ludzi, biedna, na pół bosa, w świtkach, rzadko w kożuchach i z kosami, wlokła się z Żwanem, Lniskim, Żabą, Bartkiem i Litaworem.

Nad ranem dobito się do lasu pod Dankowem i rozłożono ogniska, czekając na powrót Boruty. Jeść nie bardzo było czego, przymrozek brał suchy, śnieg pruszył. Chłopi grzali się jak mogli, i czekano w ponurych ciemnościach boru z utęsknieniem powrotu dyabła łęczyckiego.

XIII.

Zameczek w Dankowie, który jeden nie poddał się Szwedom, był niewielki ale silny, obwarowany murem, fosą i wałem od strony lądu, a od jeziora, nad którem się wznosił murem i basztami. Na basztach tych zawsze dumnie i nienaruszenie powiewał stary Warszyckich proporzec, herb Habdank. Teraz, gdy Boruta z kasztelanką na czele swych jeźdźców zbliżał się do Dankowa, w mglisty chłodny świt poranku listopadowego, panowała tu naokoło martwa cisza. Koguty tylko piały po domostwach mieszczańskich i gdzieniegdzie w oknach się świeciło. Ludzie do roboty wcześnie się ze snu zrywali, choć na ulicach miasteczka żywej jeszcze duszy nie było.

Zamek też sam nie błyszczał żadnem światłem. Na bladym pasie nieba od wschodu, rysował się ze swemi basztami i blankami jak czarna jakaś, zębata i poszczerbiona masa. Drobny, suchy śnieg pruszył i wiatr od borów szedł z wyciem. Gdy Boruta ze swymi podjechał pod zamek sam, ujrzał most zwiedziony, a na murze przechadzał się żołnierz z halabardą. Świtało już i widno było trochę. Z wielkim trudem można się było dogadać z głupim knechtem niemieckim, aż sama kasztelanka musiała się w to wmięszać i dopiero po zawiadomieniu komendanta knechtów i samego kasztelana, wpuszczono do zamku kasztelankę i jej dziewki, Borutę i kilku żołnierzy jego. Reszta rozłożyć się musiała w miasteczku, paść konie i odpoczywać.

Oczywiście, w zamku wielka radość zapanowała, gdy ujrzano kasztelankę. Kasztelan Warszycki, starzec już siwy z wielką brodą, ale krzepko się jeszcze trzymający, dziękował Borucie serdecznie.

— Panie tego — wołał, bo miał takie przysłowie — jakże się waszmość zowiesz? niechże wiem panie tego, komu zawdzięczam wyswobodzenie z niewoli mej dziewki?

— Jaśnie wielmożny panie kasztelanie — prawił Boruta, pokręcając wąsa — jam jest Rodrigus Boruta...

— Panie tego, cóż to za dyabelskie nazwisko!

— Dyabelskież ono jest, ale szlacheckie jak się patrzy — odparł Boruta.

— Hm! hm! — dziwił się kasztelan — proszę ja waszmości, panie tego, więc to waść odbiłeś mą dziewkę?

— Ja i nie ja. Wszyscyśmy ją odbijali, cała nasza partya.

— Ale waszmość jesteś tam hetmanem, panie tego!

— Nie ja.

— A kto?

— Rycerz Mora.

— Mora? Ki dyabli, panie tego, nie słyszałem o takim szlachcicu. Klejnotem Mora, co to jest w nim murzyn czarny, wiele rodów się u nas pieczętuje, ale żeby się kto, panie tego, zwał, ot tak po prostu, Mora, tom nie słyszał.

Zresztą kasztelan, dziwiąc się nazwiskom Boruty i Mory, był bardzo wesół. Staruszek chodził po wspaniałej izbie swego zamku i krzyczał na marszałka, by jeść dawano, bo zimno, a rycerz ten oto jest głodny. Nakazał ludziom Boruty do miasteczka posłać jedzenia i paszy i drew, sam zaś poił Borutę. Widocznie chciał go spoić. Nasadził nań dwóch jeszcze jakichś biboszów i od czasu do czasu zachodził go z mańki:

— Panie tego, powiedzże mi, któż to jest ten rycerz Mora?

Ale Boruta nie w ciemie był bity. Pił jak gąbka i nie upijał się, ani też przytomności nie tracił. Na zapytania kasztelana odpowiadał:

— Jaśnie wielmożny panie, rycerz Mora jest rycerz Mora. Takie już jego przezwisko.

— No dobrze, panie tego, to ja wiem, że takie jego przezwisko, ale zkądże on się tu wziął?

— Hm! czy ja wiem, może z nieba spadł. W naszych czasach wszystko jest możliwe.

Kasztelanowi widocznie wiele na tem zależało, żeby dowiedzieć się o onego rycerza Morę. Miał jakieś podejrzenia, i nie mogło być bez podejrzeń.

Bo to widzisz panie bracie — gadał do Boruty jeden ze szlachty, który zwał się Lisowski i lisią też miał fizyognomię — mądry ty jesteś i kuty na cztery nogi, ale i my też nie głupi. Nie chcesz gadać, co on jest ten Mora i dobrze czynisz. Kiep ten żołnierz, który paple co się w obozie dzieje. Ale zważ jeno, że wszystkiego jest pewna granica. Jaśnie wielmożny kasztelan, jest pan możny i takiego animuszu rycerskiego, jak nikt w Rzeczypospolitej. Kiedy wszyscy leźli do Szweda i plackiem do nóg padali, my jedni tegośmy nie uczynili i nie uczynimy, tak nam Boże dopomóż. Otóż ja tobie powiem, że kto on jest ten Mora jakiś, toć zawżdy on lepiej i rozumniej zrobi, jeśli skarbić sobie będzie łaskę takiego pana jak kasztelan. Mamy my i broni dosyć i ludzi też nie mało. Dopomódz wam możemy, ale musimy wiedzieć komu.

— A cóż wam po tem mosanie? — pytał Boruta — alboż to nie dosyć dla was, kiedy widzicie, że rycerz ów walczy za Rzeczpospolitą i bije Szweda tak, że jeno strzępki lecą!

Mówili to popijając i w czasie nieobecności kasztelana, który gdzieś wyszedł.

— Wszystko to prawda — odrzekł Lisowski — i niby to tak wygląda. Ale ja ci powiem, że całkiem jest inaczej. Najprzód słyszę, namnożyło się wszelakiego rodzaju po całej Koronie łotrzyków, którzy pod pozorem wojny ze Szwedem łupią dwory szlacheckie i uciskają lud biedny gorzej nieprzyjaciół. Jeżeli więc my mamy dopomódz owemu rycerzowi, to musimy wiedzieć, co on za zacz.

— Bodaj was zabito! — krzyknął Boruta — za łotrzyków nas macie!... Niech was piorun spali z waszą pomocą!

— Nie sierdź no się, panie bracie i sierdzić się też nie masz czego. Nie rozumiesz mnie, bo ci wino we łbie świdruje...

— A to nie prawda! — odparł Boruta — jabym jeszcze dziesięciu takich jak ty przepił.

— No, że ty tęgi masz łeb, to prawda. Nie darmo też ty dyable nosisz nazwisko i patrzysz sam na dyabła.

— A możem ja i dyabeł! — zaśmiał się Boruta.

Spojrzał Lisowski na niego z podełba, mruknął coś pod nosem, napił się wina i rzekł:

— Wracając do owego Mory, to widzisz i my nie jesteśmy bez pewnej co do niego kalkulacyi. Bo proszę ja ciebie, zważ jeno. Pojawia się ni ztąd ni z owąd w naszej okolicy i zamiast rwać Millera, który lasami przedzierał się do Częstochowy i gdzie łup i zasługa byłaby większa, on bije tego kpa Horna. I po co? Po to żeby kasztelankę odbić? A co jemu do kasztelanki? Dalibyśmy sobie sami radę z Hornem i bez twego Mory. Jeno patrzeć, jak ani jednego Szweda nie będzie w Krzepicach...

— Tak! teraz to nie sztuka — wołał Boruta — wziąć Krzepice, choćby nawet mocą, kiedyśmy

większą połowę *praesidium* tamtejszego wytłukli. Czemużeście nie brali przed dwoma dniami?

— Bo wtedy Horn był mocny, a my jeszcze nieprzygotowani jak należy.

— A widzisz, jakieście wy ryby! Nie sztuka korzystać z cudzego zwycięztwa i jeść kasztany, wyciągnięte z ognia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZAPOŹNO!

Pokój był wysoki, obszerny. Od ziemi do sufitu wznosiły się pułki, zapełnione zapylonemi księgami i szpargałami. Na biurku bezładnie porzucane były papiery i najrozmaitsze świstki, przy ścianie stał szeslong, parę krzeseł, w oszklonych szafach kilka ptaków wypchanych, kilka trupich czaszek, szkieletów, minerałów i numizmatów, nad biurkiem portrety mężów nauki i nic więcej.

Przy pulpicie nad rozwartą księgą siedział schylony mężczyzna lat średnich, o nosie orlim, wyrazie twarzy surowym i poważnym. Był szczupły, znać pracą wycieńczony. Policzki miał blade, pergaminowe, włos rzadki. Wytarty surdut, kołnierzyk wystrzępiony i krawat niezawiązany, świadczyły, iż nie dbał o swą powierzchowność. Wczytywał się w przerzucane karty i niekiedy ołówkiem nakreślał i robił uwagi na marginesach. Obok niego stała szklanka z czarną kawą, w ustach trzymał cygaro i palił go powoli. Po niejakim czasie zdjął okulary, przetarł oczy, księgę zamknął, przeciągnął się z lekka ziewając i powstał z siedzenia.

Okno było zamknięte, otworzył je i stanął.

Był to pogodny schyłek dnia jesiennego. Z okna widać było uliczkę, ciągnącą się daleko i rozpływającą w mnóstwo zaułków i placów. Tu i owdzie wychylały się grupy drzew z czarnemi gałęziami i zżółkłemi liśćmi, w oddali słońce chyliło się ku ziemi i rozróżowiało białą pulchną watę, poszarpaną w kawałki większe i mniejsze, ciemniejsze i przezroczyste, błąkała po bezmiernym labiryncie niebios, jak dusza ludzka po czarnych bezdrożach tego świata.

Powietrze wiało chłodnawe. Stojący nie czuł wszakże chłodu, była to jedna z niewielu chwil tęsknej zadumy. O zamknięte zwykle na wszystko uszy, obijały się w tej chwili gwary ludu, stuk i krzyki, tętno życia wielkomiejskiego.

On w świecie tym nie żył. Schował się w księgi i papiery, strawił lata na ślęczeniu i dziś po długiej, ciężkiej pracy był bez rodziny, wiecznie samotny, smutny, przybity...

W życiu jego nie było ani jednego momentu, o którym by z uśmiechem zadowolenia i radości wspominał: księga, papier i pióro, oto co wryło się w jego pamięci. A tam z lat najdawniejszych, kryły się jeszcze wspomnienia niemiłe, bo straszne, wspomnienia lat nędzy, wspomnienia ubogiego domu rodzicielskiego, prostodusznego ojca i łagodnej matki, sylwetki mgłą otoczone. Od lat dziecięcych pracował. Dziś zbierał owoce tej pracy, miał sławę, miał uznanie, stanowisko, a jednak... nie był szczęśliwy.

Dotąd nigdy nie zaglądał w swe serce, nigdy nie pytał go, czego pragnie, zadawalniał umysł tylko. Słyszał, że ludzie się bawią, on nie znał zabawy; wiedział, że życie to otchłań cielesnych i moralnych rozkoszy i bólów, on bóle znał tylko... Prawda! były chwile rozkoszy, przemknął cień promyka szczęścia, to chwile pracy z zapałem, z wiarą na przyszłość, z wiarą docieczenia niezdartych dotąd zasłon, kryjących niezbadane tajemnice.

O, jakżeż gorzkie spotkało go rozczarowanie! Dziś już się nie łudzi, dziś wie, że wędrówka ku tym świętym, niedotykalnym skarbom daremna... Dziś jakże by był szczęśliwy, gdyby mógł nic nie wiedzieć i wierzyć jeno w to, czego nie wie!

Patrzał przed siebie, w uliczkę pokrywającą się coraz ciemniejszym wzrokiem. Wśród półcienia sunęła postać latarnika, zapalającego małe, migotliwe ogniki. Gdzieś, przed ożywionym, jaśniejącym od świateł sklepem grała katarynka, a tony jej przytłumione, skarżące się jakąś tęskną nutą starej włoskiej aryi przebijały się przez na poły mglistą atmosferę.

Wszędzie roiło się ludźmi. Tu spieszył w paltot owinięty mężczyzna, może ojciec drobnych dziatek, tam młoda, wiotka dziewczyna kroczyła po chodniku, wracając po dniu pracy szczęśliwa, czerstwa i hoża. Na spotkanie jej biegnie wesoły urwis, podrzucający luźny swój pantofel do góry i pogwizdujący ochoczo. Nie troszczy się on o nic, widzi jeno co ma przed oczami, na duszy mu lekko, to też fruwa, fruwa jak ptaszek.

A dalej całe gromady robotników ciągną ulicą, twarze ich posmolone, a ręce spracowane. Idąc, gawędzą, śmieją się, to znów klną na przemiany. Czasem przesunie się kareta, powóz lub dorożka, wioząca do domu, może na zabawę; czasem zajaśnieją białe lejce, zadowolone twarze spieszących na wesele; czasem przygnębione oko wychyli się z karety, ktoś, wracając ze cmentarza i ostatnią przysługę oddawszy ukochanej istocie, z za łzy spoziera po tłumach i uchem, jeszcze przesyconem dźwiękami głosu na wieki pożegnanej osoby, chwyta te różnorodne odcienia, odzwierciadlające ludzkie walki, ludzką dolę i niedolę.

Niekiedy po pod murami domów przekradnie się nieśmiało nędzne, zbiedzone dziecię-sierota, zgłodniały żebrak, kobieta w łachmany odziana, przekradnie się i przemknie, by zginąć w wielkim miasta chaosie.

A miasto wre, a on obcy jemu obserwuje szalone, wulkaniczne jego skoki.

Gdybyż w tej chwili, szczęściem opromieniona stanęła przy jego boku jaka urocza ludzka istota i różowemi paluszkami starła tę troskę z jego czoła, tchnieniem swem zdmuchnęła bolesną zadumę i pieszczotami niewinnego kotka wrota do krainy miłosnych upojeń otwarła! Gdybyż choć gorzkie, wściekłe cierpienie rozrywało mu duszę i ciskało nim jak piłką! Gdybyż mógł żyć przynajmniej jak ci ot tu wszyscy ludzie żyją i być prostym nędzarzem nawet, byle z resztką nadziei, z odrobiną wiary!...

W tę szarą godzinę smutnej jesieni, w tę porę bezsilnego borykania się natury, zapragnął czegoś, czego nie zaznał, czego nie doświadczył, o czem wiedział tylko i słyszał w swojem posępnem ustroniu.

Złożył ręce na oknie, podparł niemi twarz ściągłą i wychylił się.

Nagle pod nim, na pierwszem piętrze, na balkonie, przybranym w wijący się bluszcz i powój, ukazała się cudna główka dziewczęcia. Tuż przy niej zaczerniały jedwabiste kędziory młodziana i różowe usta się zetknęły.

Drgnął.

Katarynka z oddali dosyłała jeszcze melancholijną melodyę, smutek, nucony przez stary instrument, ubarwiał srebrzysty śmiech rozkosznej dziewczyny, spoczywającej w silnych, ukochanych dłoniach narzeczonego.

Na horyzoncie jeszcze czerwieniał maluchny rąbek tarczy słonecznej i wśród łagodnie zarumienionych domostw niekiedy wiatr się przewijał.

Na twarzy uczonego mędrca zarysowały się głębokie fałdy boleści i żalu. Wyprostował się i ręce wyciągnął do tego świata, co się przed nim rozkładał i posłał je niby w pogoń za temi uczuciami i myślami, co się z głowy i serca rwały ku niemu.

Wargi mu się poruszyły, jakby chciały wykrzyknąć: świecie, świecie, wyjdź do mnie ze wszystkiemi twemi powabami, znijdź i ogrzej i rozłóż niepłonący nigdy w głębi mej duszy ożywczy, palący ogień!...

Zatrzymał się, usta zaciął, brwi ściągnął i spojrzał po sobie. Opuścił smutnie głowę, i w mroku, już tonącego pokoju, stłumionym głosem wyszeptał:

— Zapóźno!...

Ursyn.

NOWOŚCI TEATRALNE.

PRZEZ

T. J. Choińskiego.

Gomulicki. — Przybylski. — Gawalewicz. — Świętochowski. — Tomaszewicz. — Mellerowa i Galasiewicz, tak zw. dramaty francuzkie — reżyserya — wykonawcy.

(Dalszy ciąg.)

Wręcz przeciwnym biegunem poprzedniego jest inny autor, którego dramacik p. n. „Antea", należy także do nowości ubiegłego sezonu.

P. Aleksander Świętochowski woli być paradoksalnym, przesadnie jaskrawym, byle nie zasłużyć na zarzut pospolitości. Pisze on stylem, sobie tylko właściwym, wytwornym, świetnym, choć wyszukanie efektownym, sztucznie oryginalnym. Stworzenie niezwykłego zwrotu jest jego jedynem marzeniem.

Wielki to wojownik w obozie postępowym, polemista z krwi i kości, idący na przebój, brzydzący się podchodzeniem, ustępowaniem, sprytem. Jak pióro p. Gawalewicza omija starannie wszelkie wiry, tak wrze i kipi wszystko w artykułach pana Świętochowskiego.

Ten nadmiar siły nie pozwala być redaktorowi „Prawdy" artystą, który nie może pracować bez panowania nad przedmiotem. P. Świętochowski jest zawsze niewolnikiem swej tendencyi i dlatego nie może mieć powodzenia jako beletrysta.

Dowiódł on swej niemocy artystycznej i w „Antei", nazwanej dramatem.

„Antea" czyta się w książce z zajęciem, a na scenie wygląda blado, żadnego nie robiąc wrażenia. W książce bowiem jest każdy skrystalizowany odblask talentu, przedewszystkiem dziełem literackiem w ogóle. Czytelnik śledzi nietylko rozwój fabuły, nie samej jedynie bajki szuka, lecz

zastanawia się także nad dykcyą, nad rodzajem myślenia autora i nad metodą jego wnioskowania.

Lecz deski teatralne, to nie bibuła. Widz nie chce domyślać się, rozkoszować się grą słów, oryginalnem zestawieniem pojedyńczych zwrotów i uderzaniem o siebie wyszukanych paradoksów. Pragnie on tylko patrzéć na człowieka i jego czyny, na wypadki i skutki ich.

Akcya góruje w dramacie zawsze po nad dykcyą, usuwając w cień wszystkie inne zalety i właściwości, subtelności i niespodzianki myślowe.

A na tę akcyę czekamy daremnie w „Antei”.

Dwóch niewolników bogacza greckiego Krytobula, Dulos i Protos, chodzą około gazonu kwiatów, otaczających marmurowy zbiornik wody i omywają liście gąbkami. Zatrudnienie to zmienia rozkaz ich pana, który ukazuje się na chwilę na tarasie pałacu.

— Ty, Protosie, wyłap mi wszystkie owady, które koło wody w zbiorniku się kręcą, a ty, Dulosie, weź wachlarz i odganiaj z kwiatów motyle.

Niewolnicy czynią, co im pan polecił, zabawiając się wśród pracy filozofowaniem na temat: *de omnibus rebus et quibusdam aliis.*

Choć Dulos posądza swego towarzysza o „usta złośliwe”, nie posiada i on sam, ani słodkich ani pobłażliwych.

Dwaj ci ludzie kąsają się, jak pieski, do jednej wpuszczone budy, a czynią to z równą wprawą.

Jednostajność kolorytu rozmowy między Protosem i Dulosem zaciera właśnie jej ton charakterystyczny.

Gdyby się dykcya jednego z nich różniła od sposobu wyrażania się drugiego, ożywiłby się dyalog i zająłby oczywiście słuchacza więcej.

Dysputa niewolników (gdyż tak trzeba nazwać ich przekomarzanie się dyalektyczne), stanowi ekspozycyę w „Antei”. Ma się rozumiéć, że utwór, w którym założenie wypełnia prawie całe ramy, nie może sobie rościć prawa do tytułu dramatu.

A ekspozycya przeciąga się w „Antei” do samego końca. Dopiero na chwilę przed spuszczeniem zasłony zaczyna się na scenie akcya.

— Ty do łazienki! — rozkazuje ukazujący się znów na tarasie pałacu Krytobul — a ty, psie, (Dulos) przyniesiesz wody na kąpiel dla niej, a potem rózeg dla siebie.

— Przedtem ją jeszcze pocałuję — woła Dulos — zanim ją ty splamisz swemi ustami!

— Na pal tego łotra! (Krytobul).

Oto wszystko, oto cała czynność dramatyczna w „Antei”. Trwa ona zaledwie minutę i nie rozwiązuje właściwie nic, gdyż pocałunek, dany przez niewolnika niewolnicy, to jeszcze nie powód dramatyczny do takiej katastrofy.

Działo się tak w rzeczywistości, lecz scena nie jest prostą kopią pojedyńczych odłamków historyi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORESPONDENCYA Z WŁOCŁAWKA.

Miasto nasze, którego głównym żywiołem jest handel, jako punkt środkowy chlebodajnych Kujaw, posądzane niejednokrotnie o przesadę gęszefciarską, ma przecież pewną cechę którą pochlebić się może, a tą jest chęć niesienia pomocy wydziedziczonym z łaski losu śmiertelnikom.

Zaledwie przedźwięczał dzwon popielcowy, przypominający żeśmy prochem i w proch się obrócim, a już filantropi pokrzywdzonej ludzkości, zajrzeli w posępne poddasza i wilgotne suteryny, gdzie głód i zimno toczą bój z prawami natury, gdzie starość lub kalectwo wyczekują pomocy możnych, a te małe które Chrystus ukochał, te drobne opuszczone dzieciny wprowadzić pod dach Ochrony, nakarmić, przyodziać i uczyć w miarę zdolności i wieku. Kwesta na nędzarzy nie zawsze dopisuje i nie przez wszystkich bywa jednakowo uznawaną. Żeby więc nie narazić się na zawód, członkowie resursy urządzili wielkopostne Soboty z koncertami i przedstawieniami amatorskiemi, a Włocławianie przyklasnęli celowi i z czem kto mógł pospieszał składać na ołtarzu cierpiącej ludzkości.

W przedstawianych komedyach, ocenialiśmy nietylko dobre chęci, ale i talenta niepomierne. Pan Bra.. wcielił się w tajemnice Malpomeny i Thalii, pojął ją duchem, i w obec zachwyconej publiczności stanął jako zwycięzca, zyskując miano gwiazdy scenicznej. Trudno zamilczéć o porywającej grze pani Now...... w komedyi p. t. „Teatr amatorski”. Żona burmistrza z porywającą naturalnością przedstawiła nam postać małomiasteczkowej jejmości, rządzącej z niezrównaną powagą mężom safandułą, i wyszukującą środków dla zdobycia sobie zięcia. Może rola ta dana komuś innemu, straciłaby grzesząc napuszoną przesadą, boć wywiązanie się z niej wcale nie łatwe; mistrzowska jednak gra pani Now...... uplastyczniła ją znakomicie, a my patrząc na zakłopotaną, to znów na rozpromienioną twarz p. Trombolińskiej, napawając się prześliczną intonacyą głosu matki, żony i zdobywczyni serca męzkiego dla swej pięknej jedynaczki, zapomnieliśmy żeśmy tylko widzami w przytułku sztuki, w którym rozgrywa się obraz życia ludzkiego na deskach scenicznych.

I burmistrzowi nie brakło naturalności i prostoty, był on doskonałym typem męża i pana domu... jakich nieraz spotykamy w życiu codziennem.

Śmiało też powiadzieć możemy, że scena amatorska włocławska może nietylko komedye ale i sztuki poważniejsze z powodzeniem przedstawiać.

Amatorka-śpiewaczka pani Prz... zachwyciła słuchaczy i znawców „Kaliną” „Barcarolą”, a zasypana zasłużonemi oklaskami, śpiewała więcej niż program obiecywał.

Młodziutka panna H.. wróży na przyszłość znakomitą śpiewaczkę. Mamy nadzieję że pani Prz... nie poskąpi słowiczych tonów i zaśpiewa nam jeszcze na dochód niezamożnych uczni tutejszej realnej szkoły, o co prosić ośmielamy się w imieniu szczerych wielbicieli jej znakomitego talentu.

Sklep połączonej pracy kobiet p. Elżbiety Starzyńskiej, ułatwia pracownicom sposób zarobkowania, przyjmując wszelkie wyroby ręczne. Bielizna tamże szyta ma zbyt niemały, co dowodzi że dokładnem wykończaniem zyskała uznanie. Dom zleceń i Tani sklep, dają nam możność wspierania postępu na drodze pracy, rodaków naszych co gdy nastąpi przy dobrych chęciach mieszkańców miasta i okolicy, gdy pójdziemy razem ręka w rękę, lżej nam jakoś będzie i raźniej wśród ogólnej posuchy monetarnej!

Niech wam wolno będzie za pośrednictwem Tygodnika złożyć publiczne podziękowanie Amatorom i Amatorkom sceny, serdecznem naszem „Bóg zapłać”.

Paulina Biernacka.

Echa z dziedziny naukowej.

Eldorado pod biegunem północnym. — Meteory i aerolity. — Anomalie temperatur podziemnych. — Żelazo w starożytności. — Tunel pod rzeką Mersey. — Sparteina, nowy środek na cierpienia serca.

Przybycie do Londynu Amerykanina, porucznika Greely, który dotarł najbliżej do bieguna północnego, przez kilka miesięcy zostawał uwięziony wśród lodów wraz z całą osadą, a dla uniknienia śmierci zniewolony był pożywać najwstrętniejsze rzeczy, wywoła niezwykłe wrażenie wśród tamtejszego uczonego świata, nie tyle z powodu nadzwyczajnych jego przygód ile raczej z powodu pomysłów i wniosków jego o istnieniu nieznanych krain w pobliżu których przebywał. Porucznik Greely utrzymuje stanowczo iż po za morzem Lodowatem, istnieje niemylnie kraj kwiecisty i urodzajny. Miał on sposobność sprawdzić, że zdala, z po za lodów któremi okręt jego był otoczony, dawały się odczuwać przypływy i odpływy morza, a ciepły wonię jący powiew pomieszany z silnym wichrem Północy, przynosił niejaką ulgę w okropnem jego położeniu. Fakt ten, skonstatowany z resztą przez wielu badaczy mórz polarnych, podał porucznikowi Greely sposobność utworzenia nowej teoryi, zupełnie sprzecznej ze znanemi dotąd. Utrzymuje on że odkrył nareszcie środkowy punkt żywotności kuli ziemskiej, serce, a raczej „pępek” jak podobało mu się nazwać żywotny centrum wszechświata. Określa on miejsce z którego wychodzi ożywcza i twórcza potęga świata, i gotów jest wykazać pod jaką mieści się szerokością.

Na poparcie tej teoryi powiedzieć można, iż do najwięcej zadziwiających i niezbadanych dotąd tajemnic przyrody, jest gromadna emigracya zwierząt z północnej Ameryki, z początkiem każdej zimy, ku jakimś nieznanym lądom dalej jeszcze niż biegun posuniętym ku północy. Powracają dopiero w miesiącu kwietniu, tłuste i dobrze widać żywione, matki ze swemi małemi, i rozpoczynają znowu zwykłe swoje dzikie życie. Jak i gdzie mogły istnieć i żyć przez tyle czasu? jest to tajemnica której nikt dotąd zbadać nie zdołał. Teorya wygłoszona przez porucznika Greely, zbudziła do życia tę dawną i ciekawą kwestyę.

Profesor Dewar który wypowiedział szereg konferencyi dla studentów pragnących głębszej nauki, wybrał w tym roku za przedmiot do nich meteory i aerolity.

Profesor Dewar zalicza się do najznakomitszych uczonych angielskich, a biegłość i kompetentność jego w traktowaniu wszelkich kwestyi astronomicznych i meteorologicznych, powszechnie jest uznaną. Jednak obecnie jeden z uczonych belgijskich wkraczając w sferę jego badań, stara się dowieść mylności jego teoryi, przedstawiając za najlepiej uzasadnioną teoryę o aerolitach pani Joanny Power. Pani ta, francuzka rodem, zaliczona do najuczeńszych tegoczesnych naturalistów, poświęciła

swą pracę specyalnemu badaniu aerolitów, które wyrobiło w niej przekonanie że ciała te bynajmniej nie spadają z niebios, ale tworzą się z materyi zbieranych na gruntach po nad którémi unosił się wir powietrzny, porywający je w daleką przestrzeń. Materye te roztapiają się i łączą z sobą, dzięki prędkiemu ruchowi obrotowemu i ciepłu wywiązującemu się skutkiem tarcia cząsteczek jednych o drugie, aż nareszcie skupiają się i opadają na ziemię, gdy podnosząca je siła przestaje działać. Sformułowanie tej teoryi zjednało pani Power zaszczyt zaproszenia jej na członka Akademii brukselskiej która przyjęła jej teoryę, pomimo że Akademia francuzka i królewskie Towarzystwo angielskie, odrzuciły ją „dla braku dowodów”.

Na posiedzeniu inżynierów cywilnych Stanów Zjednoczonych, panowie Smith i Dorsey odczytali ciekawą pracę o temperaturach podziemnych. Wiadomo że dotąd powszechnie niemal utrzymywano że wewnętrzne ciepło ziemi zwiększa się w miarę głębokości; otóż panowie ci mieli sposobność stwierdzenia w nowych kopalniach Amaldew, w Kalifornii, faktu zaprzeczającego dotychczasowym dowodzeniom. Około 180 metrów głębokości, temperatura była bardzo wysoką (50 stopni centygradu) gdy tymczasem o 450 metrów pod powierzchnią czyli 150 pod poziomem morza, temperatura była bardzo znośną. W tejże okolicy, w kopalniach Eureka, na głękoność 350 stopni, powietrze nie zdawało się cieplejszem jak o 30 metrów pod powierzchnią. Pan Dorsey mówił że w kopalniach Cornstock (Newada) panuje wyjątkowe gorąco. Termometr umieszczony w zagłębieniach nowo wydrążonej kopalni, na głębokość 450 do 600 metrów, wskazywał 58 stopni centyg. W kopalniach tych znajdują się źródła gorące, mające 68 do 70 stopni, chcąc więc utrzymać temperaturę 40 stopniową trzeba wprowadzić do kopalni zimne powietrze (oziembione skutkiem przejścia przez topniejący lód). Z porównań jakie czynił w wielu kopalniach; p. Dorsey wyprowadza wniosek że geologiczny układ gruntu, oddziaływa na temperaturę podziemną. Najchłodniejsze są kopalnie Chonorcillo i tunel góry Cenis, wykonane w gruncie wapiennym; najgorętsze kopalnie i tunele są znajdujące się w pokładach trachytowych lub węglowych.

(*Dokończenie nastąpi.*)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Maja 1886 roku.

W chwili gdy to piszemy zaczyna się prawdziwy karnawał paryzki. Z powodu nieskończonej jeszcze żałoby po hrabinie Chambord, arystokracya wstrzyma się w tym roku od balów, poprzestanie tylko na rautach, ponieważ jednak, za obrębem świata legitymistycznego są jeszcze w Paryżu inne światy: finansowy, artystyczny, literacki i t. d. nie braknie zatem różnego rodzaju zabaw, a wystawy, wyścigi konne, loterye na ubogich, kiermasze czyli sprzedaże po ogrodach, otworzą szerokie pole paryżankom, do popisu z letniemi strojami.

Ruch wielki panuje po sklepach. W pięknym magazynie pani Elizy Mery (przy ulicy Canmartin N-r 48), widzieliśmy kilkanaście sukien przygotowanych na te majowe i czerwcowe uroczystości.

Opiszemy z nich kilka, noszą bowiem wyraźną pieczęć wytwornego smaku, a co ważniejsza, nie rażą przesadą ani ekscentrycznością, jaka zbyt często uderza w strojach dzisiejszych.

Do najmodniejszych kolorów należą wszystkie odcienia popielate, zacząwszy od ciemno stalowego do jasno perłowego; niekiedy kolor popielaty zachodzi w szafirowy lub zielonkowaty. Powszechnie też przyjęty kolor oliwkowy, jasny lub ciemny, według upodobania, zarówno jak kolor szary: niewarowy, piaskowy, płowy, w rozmaitych odcieniach. Do przybrania sukien używane pasmanterye przerabiane dżetem lub różnokolorowemi paciorkami. Nigdy jeszcze nie noszono tyle jak dziś paciorków; zdobią niemi zarówno suknie jak kapelusze, okrywki i parasoliki.

Z pomiędzy letnich sukien pani Elizy Mery, podobała nam się bardzo jasno błękitna w odcieniu popielatawem z lekkiego wełnianego kreponu. Spódniczka prosta, szeroko układana cała w podłużne zaprasowane plisy, otwiera się z prawego boku co najmniej na pół łokcia. Z pod tego otworu wygląda fałszywa spódniczka, z *surah*, tegoż samego koloru powleczona tiulem w deseń, odcieniu śmietankowego, ułożona w trzy grube kontrafałdy.

Stanik gładki z bawetem, ma przody szeroko otwarte, a z pod otworu, wygląda plastron plisowany. U szyi kołnierz stojący, powleczony gładko koronką śmietankową. Rękawy do łokcia plisowane. Poniżej bawetu, przechodzą do łokcia trzy płaskie zakłady z ukośnego *surah*, połączone w tyle kokardą.

Przygotowany do tego śliczny kapelusik okrągły z lekkiej, przezroczystej słomki, przybrany krepą tego koloru jak suknia i drobnemi różyczkami (*roses pompons*), w bladem odcieniu.

Druga suknia czarna tiulowa na atłasowej, ma cały przód spódniczki, naszyty raz nad razem wąską na trzy cale frendzelką dżetową. Na to idzie tunika bufiasta po bokach i w tyle, cała zahaftowana dżetem ze spadającemi wisiorkami. Na podpięciach dane kokardy z czarnej aksamitki trzycalowej, końce długo spadają. Staniczek z tiulu zasianego lekko dżetem, ma plastron naszyty dżetową frendzelką. Poniżej bawetu przeciągnięta do tyłu wązka szarfa czarna aksamitna, zakończona w tyle kokardą.

Kapelusik do tego tiulowy, cały naszyty dżetem, przybrany dwoma gałązkami bzu, podpięty wodą z lilla aksamitu.

Trzecia suknia z materyi *poult de soie* popielatej, ma spódniczkę prostą, w tyle układaną w rzęsiste fałdy. Wzdłuż spódniczki, na przodzie spada słup z takiejże materyi, wązki na ćwierć łokcia plisowany w podłuż. Z obu stron, pomiędzy tym słupem a tylnemi brytami, idzie wpuszczona pasmanterya, w rodzaju siatki, szeroka na pół łokcia, przerabiana popielatemi paciorkami. Stanik odznacza się nową całkiem formą, przody otwarte z długim bawetem, boki podcięte sięgają tylko do stanu; od pleców spada czworograniasta klapka, otwór na przodzie pokryty bogatym plastronem z pasmanteryi. Całemu ubraniu ślicznie odpowiada kapelusik z takiejże pasmanteryi przerabianej paciorkami, zdobi go wysoka egretka z różowych sznurów.

Uważaliśmy w tymże magazynie, bardzo ładne ubranie ranne dla młodej mężatki, z lekkiej etaminy oliwkowej, w deseń tegoż koloru, przody stanika i spódnicy, krajane razem, szeroko się otwierają, tylne bryty tworzą powłokę, pod to idzie spódniczka fularowa w rzucik na tle blado różowem, ułożona w podłóżnie zaprasowane plisy, przewiązana w pasie wstążką różową. Kołnierz stojący różowy, powleczony koronką białą, z kokardą u szyi. Rękawy przybrane koronką i wstążkami.

Do nowości tegorocznych należą suknie *Bizantyńskie*. Robią je z etaminy w kolorze granatowym, oliwkowym lub morderowym, przerabianej w pasy różnokolorowe, przypominające wschodnie mozajki. Z przodu spódnicy, pasy dane zazwyczaj w poprzecz. Idzie na to bufiasta tunika z gładkiej etaminy podpinana fantastycznie. Stanik gładki, ma przody szeroko otwarte, z pod tego otworu widać kamizelkę w poprzeczne pasy. Dół stanika przybrany różnokolorowemi grelotkami.

Skutkiem wypadków wschodnich, hafty w guście bulgarskim powszechnie używane. Zdobią takiemi szlakami, suknie z gładkich tkanin wełnianych. Widzieliśmy suknią podobną, z granatowej etaminy. Na pierwszej spódniczce, szły cztery pasy dość szerokie, naszyte w drabinkę, na to spadała gładka spódnica, podpięta wysoko z lewego boku.

Miejsce stanika zastępował obcisły kaftanik z karoczkiem, otwarty zupełnie z przodu, z odwiniętemi klapkami, stanik był gładki, klapki tylko pokryte bulgarskim haftem. Pod spód szła muszlinowa szmizetka w rzucik, ułożona w formie chusteczki skrzyżowanej na piersiach. W stanie rozchodzące się przody kaftaniczka połączone były paskiem zahaftowanym. Mankiety haftowane u rękawów ładnie dopełniały całości.

Widzimy również na letnie kostiumy, satinety w pasy tureckie i perkaliki z takimże odpasowanym szlakiem.

Zapiszmy tu jeszcze ładną suknię letnią z batystu niewarowego. Pierwsza spódniczka gładka; druga w rzucik zahaftowany w maszynie bawełną koloru wydrowego (*loutre*), z dość szerokim szlakiem u dołu, podniesiona fantastycznie. Stanik gładki, zapięty na bok, ozdobiony haftem u góry i na piersiach, takież mankiety u rękawów.

Pekiny, w szersze lub węższe pasy bardzo modne w tym roku. Do strojnego ubrania widzimy takie pekiny jedwabne, w pasy atłasowe i *grosgrin*, w jednostajnym kolorze, albo też białe z czarnym, granatowe z morderowym, oliwkowe z ciemno bronzowym. Są też wełniane pekiny w jedwabne pasy. Suknia składa się zwykle z gładkiej materyi i z pekinu.

Stojące kołnierzyki u sukien jeszcze się widzieć dają, ale zaczynają zniżać je trochę, mamy więc nadzieję, że w ciągu lata ustąpi ta niewygodna i niezbyt estetyczna moda. Za to ukazują się już u szyi wązkie plisowane fryzki, tak do każdej przypadające twarzy.

Staniki u sukien zazwyczaj otwarte, wymagają koniecznie kamizeleczek i plastronów. Do codziennego ubrania, upowszechniają się kamizelki z białej piki lub też plastrony z cienkiego, podwójnego płótna, spięte na rzęd perłowych lub kościanych guziczków, z kołnierzykiem stojącym, podwiązanym wązką białą krawatką. Widzimy też

plastrony perkalowe białe w drobny kolorowy rzucik i podobne mankiety pod rękawy. Co do rękawów zaczynają nosić je znacznie dłuższe, lekko bufowane u ramienia, lub też całkiem obcisłe, spięte środkiem na rzęd guzików.

W miejsce bucików, przyjęte na lato głębokie trzewiki ze skórki połyskującej, sznurowane na przodzie. Do ubrania noszą otwarte trzewiki ozdobione kokardą. Kolor pończoszki zastosowany zwykle do sukni.

Parasoliki średnich rozmiarów, garnirują czarną koronką; rączka przybrana zwykle kokardą w odpowiednim kolorze.

Rękawiczki duńskie w rozmaitych odcieniach, używane zarówno do wielkiego jak i do codziennego ubrania, z tą różnicą, że im strojniejsza suknia, tem jaśniejszy ma być odcień rękawiczki.

Włosy układają zawsze na wierzchu głowy, w mniejszy lub większy węzeł, czoło przysłaniają drobnemi loczkami lub strzępkami, wielka w tym względzie panuje rozmaitość.

S. D.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z vetement. Spódnica z materyi gładkiej jedwabnej, układana w kontrafałdy przepinane dużemi szmuklerskiemi rozetami. Vêtement z cienkiego materyału w supełki, ma kamizelkę plisowaną i szerokie wykłady z gładkiej materyi, zakończone u dołu przepięciem z grubego sznura z rozetami.

Ubranie spacerowe. Odrobione z aksamitu i materyi faille, ma spódnicę z przodu zaplisowaną w drobne fałdki, w górze dopełnioną krótko zebraną draperyą fartuszkową. Stanik aksamitny ma przy plecach i boczkach bryt nieodcinany, spadający aż do dołu sukni, środkiem tylnych brytów upięty bryt z materyi. Kołnierz chusteczkowy i mankiety koronkowe. Kapelusz okrągły z rondem podniesionem z tyłu, podszytem aksamitem, przybrany długiemi piórami.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani S. Wielowiejskiej w Kowlu, Matowe tunetańskie kwadraty dobrze wyglądają spajane z sobą po obrobieniu jednym lub dwoma rzędami słupków, przedzielanych 3 o. pow. Poczem zszywają się igłą lub zrabiają od lewej strony szydełkiem. Jeżeli spajanie ma być w dwóch cieniach to jedno obrobienie dać ciemniejsze drugie jaśniejsze. Kop. 50 na wpis doręczono podług przeznaczenia.

Panu Józefowi Krzeczkowskiemu w Humaniu. Premium do „Tygodnika z przesyłką pocztową kosztuje kop. 60. Premium do Przyjaciela także z przesyłką oddzielną kop. 40. Za przesłanie ich razem należytość wynosi kop. 75.

Panu Ruszczyńskiemu w Kołkach. O dypozytach sukcesyjnych w Anglii, wiadomość w pismach angielskich była pisana ogólowo. Dla powzięcia szczegółowych o tem wiadomości można dopełnić tego za pośrednictwem albo ambasady rosyjskiej w Londynie, albo konsulatu angielskiego w Warszawie znajdującego się.

P. Beatryczy. Wiersz ma tytuł „Co to za bóg to złoto?” Treść jego rzeczywiście dziwna, bo rozpoczęty podziwem dla potęgi złota, zamiast skończyć się jakąś myślą jego dotyczącą, przechodzi do obowiązku przyjaźni, i powiada, że gdyby ktoś w potrzebie udał się do lichwiarza a nie do swego serdecznego przyjaciela toby go to do rozpaczy doprowadziło. Założenie więc nie jest w związku z rozwiązaniem, a w każdym razie rozpacz tu nieusprawiedliwiona, bo delikatność i obowiązek nienadużywania przyjaźni ma wielkie znaczenie w stosunkach między ludźmi. Błędu tego w układzie wierszyka nie tłomacz się dopuścił ale autor; tłomacz pracy swej dobrze dokonał tylko chybił w wyborze.

Ypsylonce. Wszystko prawda co w Obrazku z życia przedstawiono, ale forma nieodpowiednia. Niby to ma być nowelka, a jednak nie jest nią, a i rozprawką nazwać artykułu nie można. Przy tej formie niepewnej, rzecz traci wielce, gdyż każda ma właściwe sobie warunki, które połowicznie tylko spełnione, nie pozwalają pracy we właściwem przedstawić się świetle.

Pani Modeście... w której liście ani nazwiska ani miejsca zamieszkania odczytać nie można, donosimy: że Panny Kanoniczki w Warszawie nie utrzymują pensyi naukowej dla młodych panienek, tylko są niejako przytuliskiem, dla kobiet należących do starych dawnych rodów szlacheckich. O warunkach dostania się do tej instytucyi można powziąć wiadomość pisząc list pod adresem: do W-ej Przełożonej Zgromadzenia Panien Kanoniczek w Warszawie, z przyłączeniem wyraźnie napisanego adresu. Redakcya sama dokonać tego nie może, bo publikowanie warunków nie od jej woli zależy.

Panu F. K. Wiersz na śmierć Zaleskiego, nie jest zły, ale niezmiernie zwyczajny: ani myśli w nim wznioślejszych nie ma, ani rymów zręcznych a brak lekkości i swobody. Zdanie to wyrażamy bez osłony, bo o takie byliśmy proszeni, a nie mieścimy w Przyjacielu Dzieci, gdyż w liście nie było powiedzianem dla jakiego Pisma został przeznaczony, a że zapewne dla Tygodnika został napisany więc w Tygodniku odpowiedź dajemy.

Pani Szulakowskiej w Honarowce. Prenumerata na Tygodnik Mód jest tylko jednego rodzaju, z dodatkami do niego przynależnemi. Nadesłane rubli 10 wpisano do kontroli jako całkowitą należytość za rok cały. Tytułu dzieła żądanego nie możemy ani odczytać ani domyśléć się.

Pani Klajszewicz w Ustłamińskiej. Numer 1 i 2 chętnie byśmy przesłali, ale takowe zupełnie zostały wyczerpane.

Pani Teresie Zadarnowskiej przez Słonim. Numera kwartału pierwszego Tygodnika są zupełnie wyczerpane. Żałujemy niewymownie, że zgłoszenie wcześniej nie zostało dopełnione.

Wiersz p. t. Zgon Szopena nie może być drukowany.

OD REDAKCYI.

☞ Tom drugi seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:

DLA DOBRA DZIECI.

STUDYUM Z NATURY.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na **premium nadzwyczajne** dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści“ *w Warszawie:*
za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40
Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści“ *w Warszawie:*
za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40
w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

ZAWIADOMIENIA.

U ZACNEJ rodziny (Florentyny Cywińskiej), stancya dla panien kształcących się, opieka macierzyńska, ciągła konwersacya w językach obcych. Cena przystępna. Hoża 26, miesz. 7.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 19 wyszedł z druku i zawiera:
Kwiatki lodu. — Popiersie Buszmana (drzeworyt). Zapytanie bez odpowiedzi (wiersz). — Opowiadanie z przeszłości. — Chłopiec maziarza. — Podróżni w pustyni Sahara (drzeworyt). — Wombat (drzeworyt). — Czyny naucznjące. — Kapitan Ferragus. Dodatek: Na wakacyach. — Skoczek (wiersz). Nieznośny chłopiec (z drzeworytem). — Lis i indyk (wiersz). — Dwa koziołki. — Obłuda (wiersz). Janek.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Апрѣля 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 19.

(*Dokończenie.*)

N. 12 i 28. Ubranie z peleryną. Patrz fig. 36 na arkuszu.

Ryc. 28 przedstawia ubranie spacerowe dopełnione tylko peleryną z kapturkiem, zaś ryc. 12 przedstawia też samą pelerynkę jako



N. 1. Płaszczyk beduinowy. Patrz ryc. 2.

dopełnienie płaszczyka bez rękawów. Na fig. 36 dajemy w zmniejszeniu krój płaszczyka, pelerynki i kapturka. Model odrobiony z bronzowego dyagonalu ozdobiony był szlakiem 16 cent. szerokim z materyału noppé bronzowego cieniowanego i frendzlą 10 cent. szeroką. Po zeszyciu przódów, boczków i pleców dodaje się do tych ostatnich tylny bryt *c*, który trzeba przystębnować bocznemi brzegami na plecach, w miejscu cienką linijką oznaczonem. Miejsca cieniowane wskazują naszycie szlaków; górny brzeg bryta składa się w dwie szerokie kontrafałdy. Dolny brzeg płaszczyka oprócz frendzli dodanej w sztuce, zdobi szlak szeroki; do brzegów przednich dodaje się tylko 7 cent. szerokie szlaki, oraz frendzlę podłożoną od spodu, a zwierzchu przystębnowaną; ta ostatnia zdobi także brzeg dolny peleryny. Ranwers oznaczony na modelu peleryny (*d*) daje się przy płaszczyku ryc. 12, z tego co szlaki deseniowego materyału, z którego jest także bryt tylny i kapturek. Przy kostiumie ryc. 28, ranwers i kapturek są z tego co spódnica adamaszkowego materyału. W kapturek zeszyty od punktu do krzyżyka daje się podszewkę z gładkiego materyału, w środku na 12 cent. przymarszczoną. W kołnierz 5 cent. wysoki można wszyć samą peleryne z kapturkiem albo razem z płaszczykiem. Sposób upięcia draperyi na spódnicy kostiumu wskazuje ryc. 28.



N. 6. Krótkie okrycie z peleryną i kapturkiem. Patrz przód na ryc. 7. Krój na arkuszu N. XI, fig. 63—68a.



N. 5. Okrycie letnie dla starszej osoby. Patrz ryc. 13. Krój, deseń i opis na arkuszu N. II, fig. 8—15.



N. 8—9. Paletocik krótki wcinany z kamizelką. Krój i opis na arkuszu N. I, fig. 17.



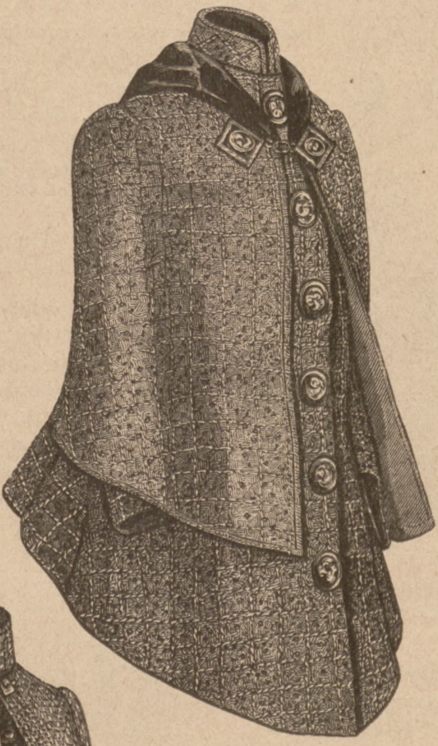
N. 2. Płaszczyk beduinowy. Patrz r. 1. Krój na arkuszu N. III, fig. 16—22.

N. 14 i 31. Suknia z paletocikowym stanikiem. Model kroju draperyi na fig. 76.

Model do ryc. 14 i 31 odrobiony z bronzowego kaszmiru i jedwabnej ottoman, bogato zdobił reps piaskowego koloru przerabiany w pasy aksamitne ponsowe i bronzowe do cieniu, którym pokryta była widoczna z pod draperyi część spódnicy, oszytej 8 c. szerokiem plisowaniem. Na małym modelu kroju fig. 76, *a* przedstawia draperyę przednią, której brzeg górny od 1 do 75 sfałdowany, a dalej do 120 gładko wszywa się w pasek; boczny brzeg z prawej strony do 113 przyczepia się skośnie guzikami do spódnicy, a dalej do 155 przyszywa się nad plisowaniem u dołu. Z lewego boku gwiazdką do gwiazdki podpina się w pukiel, a resztę bocznego brzegu składa się w fałdy i wszywa w pasek. Razem z tylną częścią draperyi *b* kraje się część wystającą u dołu, podszywa ottomanem, wywija nawierzch, a następnie cały brzeg boczny fałduje się i wszywa w pasek. Brzeg górny od 230 do 150 przyczepia się z brzegów przy rozporku, a resztę aż do 1 fałduje i wszywa w pasek z lewej strony rozporka. Część trójkątną *c* przykrojoną z materyału w pasy, fałduje się w górze i przypina na haftki, na frakowej baskinie pleców przy rozporku 20 cent. długim. Pod otwarte paletocikowe przody, dodane są z boku zapinane części kamizelkowe; część spodnią kamizelki pokrywa się gładko, a część nawierzch zachodzącą w skośne fałdy ułożoną, materyą ottoman. Krawat z materyału w pasy zawiązany na węzeł marynarski.



N. 3. Paletot długi wcinany. Patrz ryc. 4.



N. 7 Krótkie okrycie z pelerynką i kapturkiem. Patrz ryc. 6. Krój na arkuszu N. XI, fig. 63—68a.



N. 10. Ściereczka robiona na drutach do zbierania kurzu z podłogi.



N. 11. Bawełna knotowa do ryc. 10.

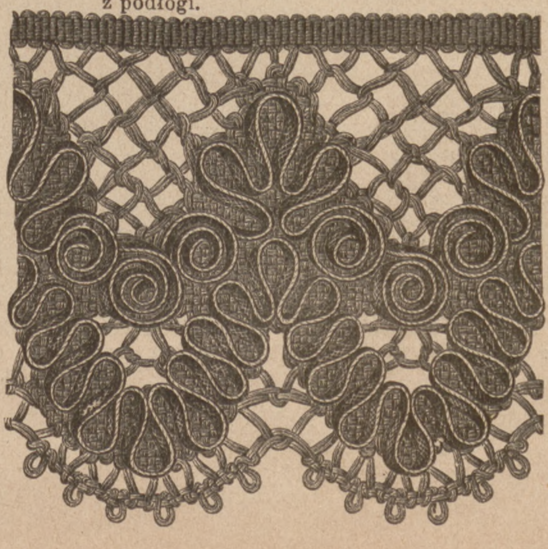


N. 4. Paletot długi wcinany. Patrz ryc. 3. Krój na arkuszu N. VI, fig. 35.

Duże guziki stalowe ozdobione wypukłym deseniem.



N. 12. Płaszczyk z pelerynką. Patrz ryc. 28. Krój na arkuszu N. VII, fig. 36.



N. 13. Koronka wełniana naszyta sutaszem, do ryc. 5.



N. 14. Plecy do ryc. 31.

N. 15—16. Kapotka z kokardą.

Pokrycie główki ułożone z czarnej koronki chantilly 25 cent. szerokiej, zszytej brzegami do środka; taż sama koronka pokrywa rondko z boków, odsłaniając oszycie z pereł dżetowych, nad czołem zaś wysuwa się po za rondko. Prosto do przodu zwrócone pukle ułożone z wstążki jasno niebieskiej z pikotami, 6 cent. szerokiej, końce do



N. 15. Kapotka ubrana kokardami ze wstążki. Zobaczyć tył kapotki na ryc. 16.

wiązania z czarnej aksamitki 6 c. szerokiej. Z boku przypięte winne grono z wielkich szlifowanych dżetowych pereł.

N. 17—18. Kapelusz z wianeczkiem róż.

Fasonik tiulowej kapotki ma wysoko podniesione rondko pokryte dwoma rzędami koronki czarnej chantilly, 8 cent. szerokiej. Trzy rzędy koronki zeszyte z sobą, 80 c. długie, złożone w podłużne fałdy pokrywają główkę i stanowią po przymarszczeniu wysoko w górę stojące przybranie. Wianeczek z blado różowych róż aksamitnych przypięty na wierzchu podług ryc. 17 — 18, w części przysłonięty jest koronką. Końce koronkowe zapięte wyżej lub luźniej kokardą z różowej aksamitki.

N. 22. Sukieneczka jersey dla dziecka.

Blado niebieski materyał trykotowy użyty na sukieneczkę, przybrany jest białą wełnianą koronką 4 i 7 cent. szeroką. Z przodu odznaczony jest plastron otoczony dwoma fałdowanemi częściami po 18 cent. szerokiemi, przyszytemi w górze pod wykładanym kołnierzem. Biały gruby podwójny sznur zakończony grelotkami, przysłania przyszycie spódniczki poddanej muślinem, 22 cent. długiej, 126 szerokiej.



N. 19. Sukienka z paletocikowym stanikiem dla dziewczynki lat 3—5. Zobaczyć plecy na ryc. 20. Krój i opis na dodatku z formami N. V, fig. 27—34.



N. 16. Kapotka ubrana wstążką. Przód na r. 15.

N. 23. Ubranie dla chłopczyka.

Przody otwartego kaftanika dopełnione są żabotem, z jednej strony przyszytym, z drugiej przypinanym. Do ubrania z granatowego sukienka żabot ułożony na podszewce był z granatowej materyi surah, 40 cent. szerokiej w górze złożonej w podwójną kontrafałdę, u dołu przymarszczonej i ujętej w pasek bawetowy w środku 8, w końcach 3 cent. szeroki. Majteczki przypinane do spodniego stanika są poniżej kolan zapięte na guziczki.

N. 24. Sukienka paletocikowa dla małej dziewczynki.

Ubrania pluszowe w garderobie dziecinnej nawet w porze letniej mają powodzenie; model sukienki ryc. 24 uszyty na jedwabnej podszewce, miał przody krajane w jednym ciągu, zapięte tylko do pasa, plecy zaś odcięte i dopełnione fałdowaną spódniczką. Z pod pluszowej sukienki wysuwa się znacznie dłuższa spódniczka haftowana, odpowiednio do której dany kołnierz wykładany, mankiety i spiczaste klapki przy kieszeniach.

N. 25. Suknia z długą draperyą. Patrz fig. 89 na arkuszu.

Do spódnicy w pasy stanik i tunika dana z gładkiego materyału i z lewego boku przy wysokiem podpięciu i wyłożeniu podszyta materyałem w pasy. Oryginalne przybranie stanowi plastron aksamitny skośnie przypięty do stanika, jak to widać na fig. 89, przedłużający się na spódnicy aż do dołu. Kołnierzyk i mankiety aksamitne.

N. 26. Paletot „capucine."

Ma luźne przody w całej długości odwinięte w ranwersy, plecy zaś wcięte krajane w jednym ciągu z boczkami, a w dolnej połowie założone w fałdy idące pod spód. Model był z grubego wełnianego bronzowego materyału miał podszewkę, długi spiczasty kapturek, ranwersy i wykłady u rękawów z czerwonawo bronzowej materyi jedwabnej. Gruby sznur bronzowy w węzły luźno przewiązany w pasie.

N. 27. Sukienka paletocikowa dla dziewczynki.

Różni się tem od zwykłej formy z odcinanym stanikiem i fałdowaną spódniczką, że krajana jest w jednym ciągu. Model uszyty z tabaczkowego sukienka zdobny rzędami stębnówki; rozchodzące się przody dopełnione są plisowaną kamizelką zapiętą środkiem na kryte haftki, obciśniętą w pasie patkami zapiętemi guzikiem. Kołnierz szeroki, prosto ścięty, z brzegu przytwierdzony jest guzikami.

N. 29—30. Płaszczyk długi półwcięty. Krój na arkuszu N. XII, fig. 69—75.

Materyał noppé piaskowy w paski i takiż plusz jedwabny użyty był na płaszczyk przedstawiony na ryc. 29—30. Na zmniejszonym formacie kroju fig. 69a—71a i 72 wskazujemy zestawienie części formy i złączenie ich z brytem (danym na formie przez połowę) dopełniającym plecy. Bryt ten do wcięcia stanu podszyty jest pluszem, w pasie przemarszczony dwukrotnie i przyszyty zwierzchu na krótkich pleckach u góry zaś podług ryc. 30 wywinięty jako kapturek; brzegi boczne podług oznaczenia linią prostą przyszyte są do pleców od 3 do 7, a od 3 na dół do boczka, boczek zaś od 3 do 5 zachodzi na plecy. Przody zapięte na kryte haftki mają wzdłuż brzegów podług linii kropkowanej naszyte plisy pluszowe, 12 cent. szerokie, u góry zaś złożone są w dwie fałdy podług znaków. Po zaszyciu zaszewki dla lepszego leżenia daje się pasek zapinany na



N. 21. Paletocik dla dziewczynki lat 7—9. Zobaczyć plecy na ryc. 27 w N. 18. Krój i opis na dodatku z formami N. IV, fig. 23—26.

N. 22. Sukienka jersey dla dzieci.

N. 23. Ubranie dla małego chłopczyka.



N. 17. Kapotka ubrana różami. Zobaczyć przód na ryc. 18.



N. 20. Sukieneczka z paletocikowym stanikiem. Przód i krój na ryc. 19.



N. 18. Kapotka ubrana różami. Zobaczyć tył kapotki na ryc. 17.



N. 24. Sukienka paletocikowa pluszowa dla małej dziewczynki.

N. 25. Suknia z długą draperyą. Zobaczyć prawy bok przodu na dodatku z krojami fig. 89.



N. 30. Płaszczyk długi półwcięty. Patrz ryc. 29. Krój na arkuszu N. XII, fig. 69—75.



N. 28. Ubranie spacerowe z peleryną. Zob. także r. 11. Krój na dodatku z formami N. VII, fig. 36.

N. 29. Płaszczyk długi luźno wcinany. Krój na dodatku N. XII, f. 69-75. Zobaczyć plecy na ryc 30.



N. 26. Paletot „Capucine."

N. 27. Sukienka paletocikowa sukienna dla małej dziewczynki.



N. 31. Suknia z paletocikowym stanikiem. Zobaczyć plecy na ryc. 14. Krój N. XIII, fig. 76.

hafki (fig. 75) przyszyty w miejscu od 14 do 15. Pluszowy kołnierz 5 cent. wysoki i mankiety.

N. 32. Kapelusz formą toczka. Rondko kapelusza z przodu 9, z tyłu 4 cent. szerokie, jest od spodu czarnym atłasem, zwierzchu ponsowym aksamitem pokryte, z brzegu oszyte torsadką z perełek wystającą na $1\frac{1}{2}$ cent. Główka bez podszewki żadnej nafałdowana z ponsowego tiulu; rondko pokryte czarną koronką chantilly 13 cent. szeroką.

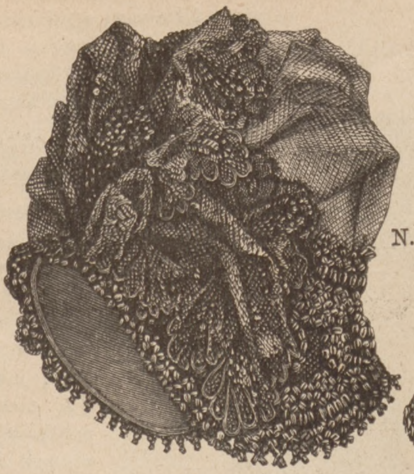
N. 33—38. Fasony letnich kapeluszy.

Ryc. 33 przedstawia fasonik z główką ażurową deseniową, plecioną z żółtej słomki, 14 c. wysoką do tyłu zniżoną i z rondkiem z granatowej słomki z przodu 9 c. szerokiem, ku tyłowi do $2\frac{1}{2}$ c. zwężonem. Kapelusz okrągły ryc. 38 odpowiedni dla młodej osoby jest z grubej słomki granatowej z ponsowym z główką 15 c. wysoką i rondkiem z przodu 12, z tyłu 2 c. szerokiem. Na ryc. 34 główka 8 c. wysoka pleciona z ażurowej żółtej słomki, rondko zaś z bronzowej słomki, z przodu 6 cent. szerokie.

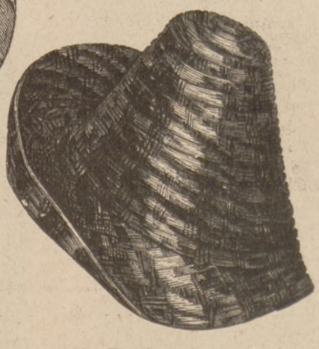
N. 46. Kołnierzyk stojący z fularową krawatką. Kołnierzyk płócienny z tyłu zapięty na guziki, $4\frac{1}{2}$ z przodu 5 c. wysoki, ozdobiony jest wszytemi rozetami z koronki walensienne. Fularowa krawatka 16 cent. szeroka zaplisowana wzdłuż w wąziutkie fałdy do $2\frac{1}{2}$ c. szerokości, również z tyłu na guzik zapięta, przyczepiona jest niewidocznie do brzegu kołnierzyka.

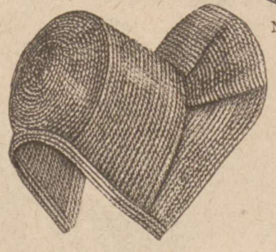
N. 47—49. Poduszka pod nogi. Haft supełkowy. Liczy w kwadrat 44 cent. i wyszyta jest dwoma rodzajami ściegu: supełkowym i łańcuszkowym; na ścieg supełkowy nawija się od spodu na wierzch dwa razy nitkę poczem zajmuje igłę podług ryc. 49 przytrzymuje włóczkę i przeciąga igłę podług ryc. 49. Model r. 47 wyszyty był włóczką smyrneńską niebieską, drzewną, ponsową i zieloną z dodaniem konturów czarnych i tła ciemno ponsowego.


N. 33. Kapelusz okrągły z dwojakiej słomki.


N. 32. Toczek tiulowy z koronką i torsadką dżetową.


N. 34. Kapotka z dwojakiej słomki.

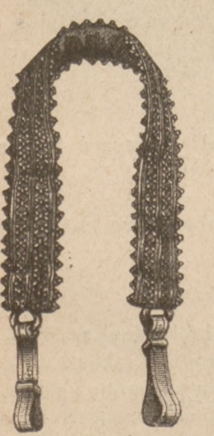

N. 38. Kapelusz okrągły ze słomki granatowej i ponsowej.

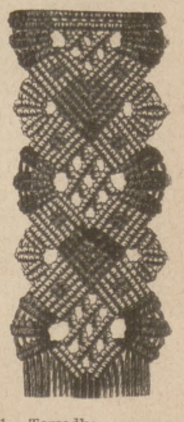

N. 35. Kapotka z włoskiej słomki z główką 10 cent. wysoką i rondkiem 62 cent. długiem, 8 i pół szerokiem, złożonem w trzy kontrafałdy.

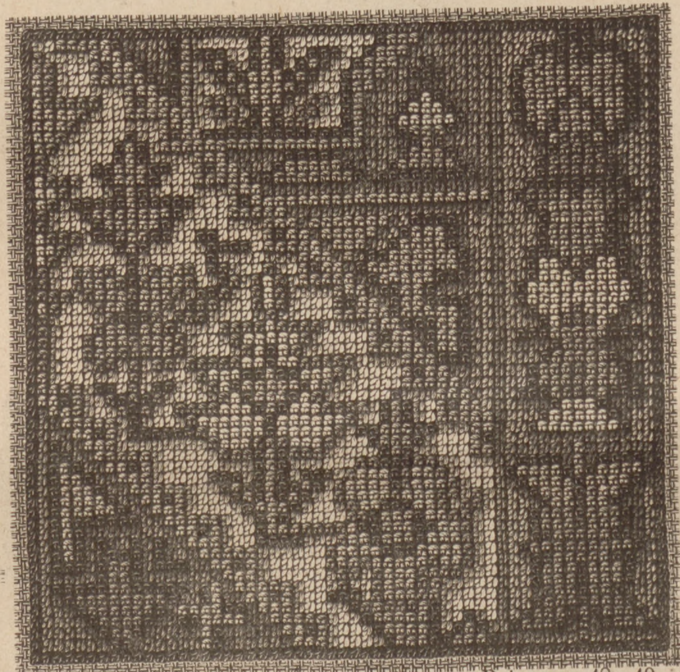

N. 36. Kapotka z włosia czarnego.


N. 37. Kapelusz z grubej żółtawej słomki przerabianej w deseń ponsowy z niebieskim, ma główkę 9 cent. wysoką i wązko odwinięte rondko.


N. 39. Wałek pod głowę zdobny haftem renaissance. Deseń patrz f. 77.


N. 40. Pasek na szyję do założenia serwetki stołowej, przytrzymanej sprzączkami. Patrz ryc. 41.


N. 41. Torsadka robotą wiązaną m acramé do r. 40

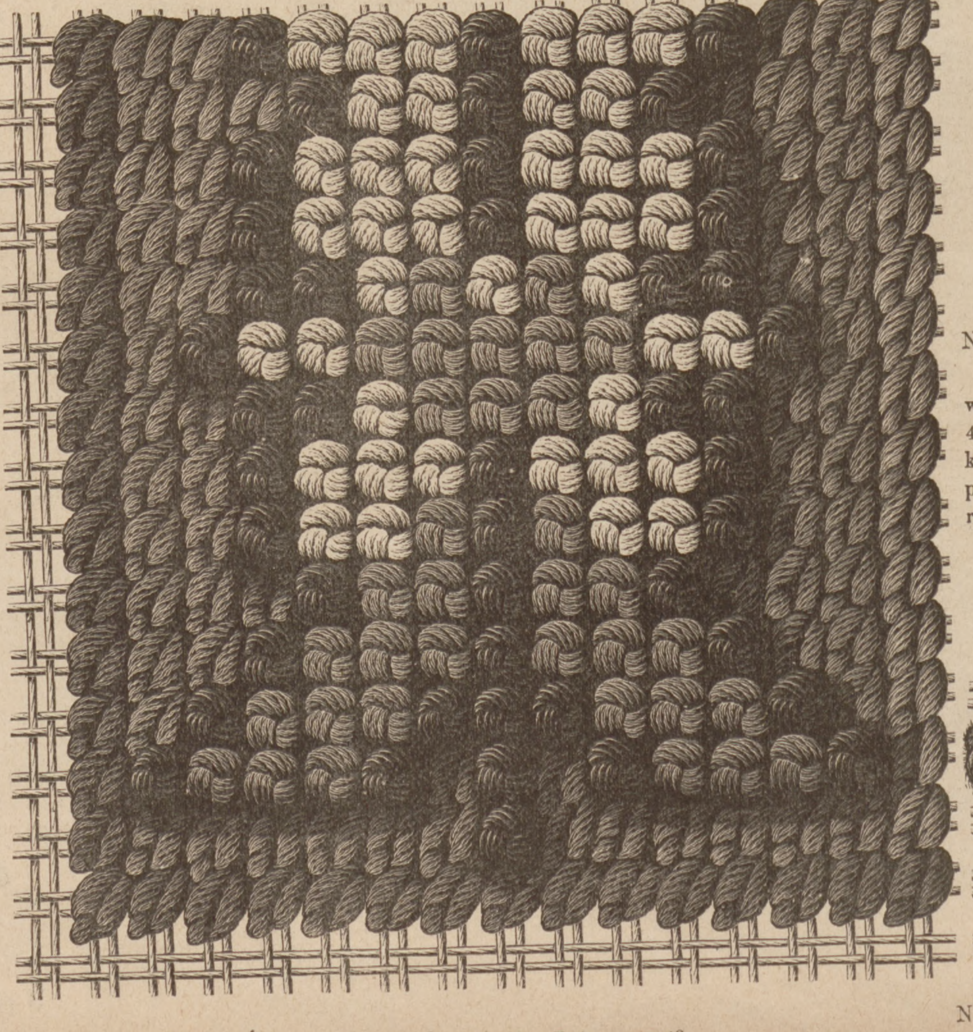

N. 47. Poduszka pod nogi. Ścieg supełkowy. Patrz ryc. 48—49.

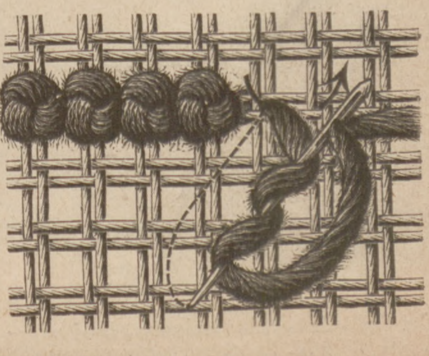

N. 44. Woreczek do tytuniu. Deseń wyszycia fig. 83 na arkuszu.


N. 42. Koszyczek na bilety wizytowe, patrz ryc. 43.


N. 45. Cygarnica wyszyta filozelą na kanwie écru przerabianej złotem.


N. 46. Kołnierzyk z krawatką.


N. 48. Ścieg supełkowy do ryc. 47. Patrz ryc. 49.


N. 49. Wykonanie ściegu supełkowego do ryc. 47.


N. 43. Pręciki druciane do koszyczka r. 42, okręcone włóczką i bajorkiem błyszczącym kolorowym.



Pl. 646.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.